

REJESTR DOTYCZY:Nr. rejestracyjny

FELDHUZEN , Maciej

z d.

s/c i

z d.

ur. 1906 r. w Warszawa

kraj:

zm. 11.XI.1990 w Rio de Janeiro

kraj: Argentyna

pochowany cmentarz w Rio de Janeiro

Dane personalnedziennikarzpublicysta i pisarzŹródła i bibliografia

Dziennik Polski z 23.XI.1990 - nekrolog

Dziennik Polski 30.11.1990 - wspomnienie

Tydzień Polski 15.12.1990 - "



"Trybuna" nr. 66/122/1990

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

PRW NiD poniósł znów bolesną stratę. 11 listopada 1990 roku zmarł w Rio de Janeiro i tam został pochowany MACIEJ FELDHUZEN, znany dziennikarz i publicysta. Urodzony w 1906 roku, uzyskał stopień magistra ekonomii w Wyższym Instytucie Handlu w Antwerpii, po czym studiował dalej w Londyńskiej Szkole Ekonomii i Nauk Politycznych oraz w Akademii Eksportu w Wiedniu. Pracował następnie dla *Gazety Handlowej* i dla *Kuriera Polskiego* jako korespondent zagraniczny w różnych krajach.

W czasie ostatniej wojny był członkiem redakcji *Kuriera Polskiego*, wydawanego przez rząd polski w Paryżu i *Dziennika Żołnierza* w Glasgow. W 1944 r. poszedł na front jako korespondent wojenny przy 1 Dywizji Pancernej gen. Maczka i towarzyszył jej na szlaku bojowym przez Francję, Belgię, Holandię do Niemiec. Po zakończeniu działań wojennych był przez pewien czas redaktorem naczelnym tygodnika *Polonia* w Brukseli.

W 1948 r. przeniósł się na drugą półkulę do Brazylii i osiadł w Rio de Janeiro. Pracował dla amerykańskiej agencji *Foreign News Service* i dla londyńskiego dziennika *Financial Times*. Został dziekanem korespondentów zagranicznych w Brazylii. Był stałym korespondentem londyńskiego *Dziennika Polskiego* i nowojorskiego *Nowego Dziennika*. Współpracował z paryską *Kulturą* i z wieloma innymi pismami emigracyjnymi, a także z Radiem Wolna Europa. Do PRW NiD należał od przeszło czterdziestu lat. Śmierć jego jest wielką stratą dla *Trybuny*, do której stale pisywał na temat Ameryki Południowej.

J.R.

MACIEJ FELDHUZEN

Dziennikarz, publicysta i pisarz. B. redaktor "Dziennika Żołnierza" w Szkocji, b. naczelny redaktor Tygodnika "Polonia" w Brukseli, b. korespondent wojenny przy 1. Dywizji Pancerniej w jej akcji bojowej. Korespondent "Dziennika Polskiego" i "Nowego Dziennika". Współpracownik wielu pism polskich na emigracji oraz Radia Wolna Europa. Dziekan korespondentów prasy zagranicznej w Brazylii. Żołnierz Polskich Sił Zbrojnych, odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi i innymi odznaczeniami polskimi, angielskimi i francuskimi. Członek Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku; członek Ruchu "Niepodległość i Demokracja" (NiD), zmarł w dniu 11 listopada 1990 r. w Rio de Janeiro i tam został pochowany.

NOWY DZIENNIK
NEW YORK
5.12.1990

o czym zawiadamiają, pogrążone w głębokim żalu,

ŻONA ELA, CÓRKA BETTY (BABA)

WNUCZKI NATHALIE i SAMANTHA

NOWY DZIENNIK
NEW YORK
20. List. 1990

Ś. † P.

MACIEJ FELDHUZEN

Dziennikarz

W czasie II wojny światowej współredaktor "Dziennika Żołnierza" w Glasgow, korespondent wojenny przy I Dywizji Pancerniej, szef Foreign News Service Inc. na Amerykę Południową.

Współpracownik i korespondent "Nowego Dziennika".

Zmarł w Rio de Janeiro w Brazylii.

Cześć Jego pamięci!

Koledzy z "Nowego Dziennika"

NOWY DZIENNIK
NEW YORK
20. List. 1990

Ś. † P.

MACIEJ FELDHUZEN

Dziennikarz

Członek Polskiego Ruchu Wolnościowego "Niepodległość i Demokracja".

Zmarł w Rio de Janeiro w Brazylii w dniu

11 listopada 1990 r.

Wyrazy współczucia żonie, córce i wnukom składają

KOLEDZY z PRW "NiD"

Ś. † P.

DP 23.11.1990

MACIEJ FELDHUZEN

dziennikarz, publicysta i pisarz

B. redaktor "Dziennika Polskiego" w Szkocji, b. naczelny redaktor tygodnika "Polonia" w Brukseli, b. korespondent wojenny przy 1 Dywizji Pancerniej i w jej akcji bojowej. Korespondent "Dziennika Polskiego" i "Nowego Dziennika". Współpracownik wielu pism polskich na Emigracji oraz Radia Wolna Europa. Żołnierz Polskich Sił Zbrojnych, odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi i innymi odznaczeniami polskimi, angielskimi i francuskimi. Członek Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku, członek Ruchu Niepodległość i Demokracja — NiD.

Zmarł 11 listopada 1990 r. w Rio de Janeiro i tamże został pochowany o czym zawiadamiają w głębokim żalu

ŻONA ELA, CÓRKA BETTY (BABA)
I WNUCZKI NATHALIE i SAMANTHA

2919/1/29

PLASTYKON

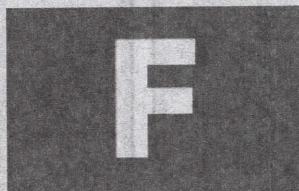
wstaje z udziałem Czytelników.
 entarze do zamieszczanych foto-
 n dymkach.

ji z dopiskiem FOTOPLASTYKON.



rawicz w „Ognisku Polskim”

bobkowy alfabet EMIGRACYJNY



FELDHUZEN MACIEJ.

Dziennikarz, publicysta. Ukończył Institut Supérieur de Commerce w Antwerpii, po czym London School of Economics and Political Studies. Przed wojną współpracował z „Gazetą Handlową” i „Kurierem Polskim”. Był specjalnym wysłannikiem „Kuriera” w Finlandii, Grecji, Francji, Egipcie, francuskiej Afryce Północnej, a przez ostatnie dwa lata – przed wybuchem wojny – w Pradze. W czasie wojny należał do redakcji „Kuriera” wydawanego w Paryżu, współpracował też z „Dziennikiem Polskim”. Po wojnie był redaktorem naczelnym tygodnika „Polonia” wydawanego w Brukseli. W 1948 roku wyjechał do Brazylii. Zamieszkał w Rio de Janeiro. Został wtedy korespondentem amerykańskiej agencji Foreign News Service i współpracował z „Financial Times”. Był współzałożycielem Stowarzyszenia Korespondentów Prasy Zagranicznej. Pisywał także do Paryskiej „Kultury” i „Dziennika Polskiego”.

Gdy zacząłem bliżej interesować się „Dziennikiem” pisywało do niego dwóch świetnych kore-

spondentów zagranicznych – Feldhuzen i Wasiutyński. Od nich zaczynało się czytanie gazety.

Tak się złożyło, że w roku 1988 byłem w Rio de Janeiro. Zaraz po przyjeździe chwyciłem książkę telefoniczną. Zaskoczyła mnie aż tak duża ilość polskich nazwisk. Ciekawy byłem, czy istnieją tam jakieś emigracyjne organizacje, wokół których koncentruje się polskie życie. Później dowiedziałem się, że nic takiego tam nie istniało. Znalazłem telefon Feldhuzena. Po kilku minutach rozmowy – bo od razu nastąpił między nami tzw. klik – zaprosił mnie na drinka na następny dzień. Mieszkał tuż obok północnej części Copacabany.

Drzwi otworzył mi starszy pan (miał wtedy 82 lata) i od razu rozmowa potoczyła się tak, jakbyśmy znali się... od zawsze. Był świetnym gawędziarzem. Wspominał czasy przedwojenne, polski Londyn, mówił też wiele o Brazylii. Oczywiście wtórowała mu żona, Czeszka, która znakomicie mówiła po polsku. I tak, ten, oficjalny początkowo drink, przerodził się w nocne rozmowy rodaków. Wyszedłem od nich około trzeciej nad ranem i wzdłuż Copacabany wracałem do hotelu.

Był bardzo ciekawy – wręcz żądny – nowinek z Londynu. Szczególnie interesował go „Dziennik”,



obecni współpracownicy itd. Nie było już wtedy Karola Zbyszewskiego, Wiesława Wohnouta i innych, których znał. Jedyny, który pozostał to Mikołaj Szumski. Feldhuzen bardzo ucieszył się wiadomością, że po śmierci żony, Danuty Karell, Szumski ponownie ożenił się. Musiałem mu osobiście przekazać gratulacje!

Podziwiałem jego witalność oraz temperament. I głowę! W taki tropikalny upał zdołaliśmy obalić dwie butelki whisky! Musiałem uważać, aby się nie skompromitować. Nie jestem przyzwyczajony do picia mocnych drinków w tropikach. W międzyczasie jego żona przygotowała świetnego homara. Rzadko zdarzają się tak sympatyczne spotkania z nieznanymi. Dwa lata później dowiedziałem się o jego śmierci. Powiadomił mnie o tym Mikołaj Szumski. ■

Leszek Bobka



HUMOR NA WEEKEND

ZATRUŁEM SIĘ!
TO BYŁA



Ze wspomnień starego drukarza

„Brazylijczyk” – Maciej Feldhuzen

Edmund Goll

W Rio de Janeiro zmarł na zawał serca dziennikarz i korespondent wielu pism — Maciej Feldhuzen. Był moim redaktorem. Służyliśmy w jednym oddziale. Przyjaźniliśmy się do końca. Dla utrwalenia Jego pięknej pamięci to opowiadanie poświęcam — E.G.

☆☆☆

Redakcję „Dziennika Żołnierza” w Glasgowie w 1942 roku objęli nowi ludzie: Aleksander Bregman, Klemens Dunin-Kępcicz, Maciej Feldhuzen, Tadeusz Horko, Mikołaj Szumski, Marek Świącicki, Bohdan Witwicki i Roland Węcowski.

W całym zespole — redakcji, administracji i drukarni — nie było oficera, niemal wszyscy kaprale, z tej racji utworzyliśmy Związek Drobnych Podoficerów.

Najwięcej żywotności i pomysłów w każdej dziedzinie przejawiał Feldhuzen; Świącicki był celem jego niezliczonych kawałów, które ten znosił z rozbrajającym uśmiechem.

Kiedyś przy okazji jakiejś popijawy Maciej opowiedział — a gwarzyć to on potrafił! — swoje perypetie żołnierskie. W Polsce w wojsku nie służył, jednak na apel radiowy w 1939 roku, aby wszyscy zdolni do noszenia broni, opuścili Warszawę i zgłaszali się do jednostek wojskowych po prawej stronie Wisły, ruszył przed siebie, mając z ekwipunku wojskowego jedynie furazerkę, którą kupił po drodze. Znał obce języki, m.in. czeski. Po stronie polskiej formował się legion czechosłowacki.

Zastanawiająca była mentalność niektórych oficerów: świat się walił a im w głowach ważność swojej osoby i regulaminy.

Jednak później otrzymał pochwałę i awans: „Za uratowanie mienia państwowego w obliczu wroga, awansuje się st. strz. Maciej Feldhuzen do stopnia kaprała”.

Wojsko rozlokowano w okolicach Biggar i Crawford. Postanowił wyzyskać swoją znajomość języka angielskiego. Zaczął udzielać lekcji oficerom po 6 pensów za godzinę. Jednak zaczęły się trudności. Niektórzy oficerowie ani rusz nie mogli zrozumieć, że w angielskim „a” czy „e” oraz inne litery wymawia się w różny sposób, i że „kapral-profesor” pewnie ich źle uczy, albo że Angliczanie są głupim i tępyim narodem.

Później odkomenderowano go jako tłumacza do kwatery naczelnego wodza w Gask House. Wspominał ten okres za najbardziej niewdzięczny w swojej służbie żołnierskiej. Niemal przez całą dobę sterczał za stolikiem z aparatem i odbierał telefony od różnych sprzymierzeńców, tłumaczył te rozmowy na polski i referował treść gen. Sikorskiemu. A potem odpowiedź tłumaczył z polskiego na język interesanta.

Gen. Sikorskiego widział z „bliska i z daleka”. w piżamie i w mundurze. Tęga głowa pod każdym względem, jednak poczucia humoru nie miał. Nigdy go nie widział śmiejącego się, jak to się mówi, „całą gębą”. Zawsze zafrasowany i zapatrzon w swoją

pracy wywiązywać. Bo linotypy nie czekają — te żarłoczne bestie ciągle przynaglały: „brak materiału do składania, dawać rękopisy!”

W owym czasie w W. Brytanii istniały dwa dzienniki. W Szkocji „Dziennik Żołnierza” i w Londynie „Dziennik Polski”, wydawnictwo rządowe. Ministrem informacji i propagandy był Stanisław Kot, który uważał, iż Polakom niepotrzebne są dwa pisma codzienne i parł całą mocą swego urzędu aby dzienniki zlikwidować. Zaczęto pismu narzucać linię polityczną, którą redaktorzy nie zawsze uważali za słuszną, były repymendy, wzywania do raportów. Kamieniem obrazy stał się nekrolog umieszczony w „Dzienniku Żołnierza” w rocznicę śmierci marszałka Piłsudskiego.

Były różne konferencje, negocjacje, propozycje, wreszcie min. Kot dopiął swego i nastąpiła fuzja obu dzienników. Redaktorzy weszli w skład gazety londyńskiej, drukarze zostali w tzw. bazie w Glasgowie.

Na wiosnę 1944 r. zaczęto się przygotowywać do inwazji kontynentu. 1 Dywizja Pancerna była w marszu bojowym. „Dziennik Polski” wydzielił ze swego zespołu kilku dziennikarzy jako korespondentów wojennych. Oficerem odpowiedzialnym za bezpieczeństwo korespondentów, którzy zgodnie z konwencją genewską nie byli uzbrojeni, został ppor. Horko, tzw. „conducting officer”. Nasza Dywizja weszła w skład 1 Armii kanadyjskiej

i anegdotami o swoich kolegach korespondentach, szczególnie się wyżywał na Bolesławie Piekarskim i Świącickim. Feldhuzen napisał świetną książkę, sumującą jego przeżycia jako korespondenta wojennego pt. „Wojna skończyła się wczoraj”, którą mu złożyłem w Quakenbruecku. Miała ogromne powodzenie i obecnie jest białym krukiem.

W 1947 r. wycofano z okupacji Niemiec wojsko polskie. Dziennikarze stanęli wobec problemu: co dalej? Drukarzy było niewiele, nie mieli kłopotu ze znalezieniem pracy, natomiast dla ludzi pióra nie było dosyć posad.

Feldhuzen przebywał w tym czasie z żoną Elą i córeczką Babetką w Brukseli, jako naczelny redaktor tygodnika „Polonia”. Jeden z przyjaciół, który już był zadomowić się w Brazylii, napisał list żeby przyjeżdżał, bo tam dla takich ludzi jak on, istny raj. Zawsze może otrzymać świetną posadę z mieszkaniem. Uwierzył nie sprawdzając, no bo jak? Na miejscu bolesne rozczarowanie: ani posady ani mieszkania. „Przyjaciół” tłumaczył, że kiedy pisał były możliwości, ale teraz ktoś inny podłapał synekurę.

Gorączkowo szukał zajęcia. W klubie polskim spotkał kilku takich jak on inteligentów w podobnej sytuacji. Uradzili, że w upalnym klimacie Brazylii najlepszym interesem jest pralnia. Złożyli swoje oszczędności, wynajęli lokal w centrum miasta, odnowili wywiesili szyld. Teraz będą robić kokosy!

Rzeczywistość łupnęła boleśnie po niepraktycznych głowach. Zнали znalazł gruntownie portugalskiego. Każdy miał dyplomy, dobre maniery, tytuły; niestety, żaden nie znał się na praniu. Nikt nie potrafił reestrować i znakować

znajomości języków, wykształcenia, dyplomów, przeszłości wojennej. I kiedy zdawało się już że dno, że los przypieczętowany, przyszedł list aby stawił się na „interview”. Właśnie taki jak on był firmie potrzebny!

Wszystko zaczęło znów się uśmiechać. Służbowe mieszkanie, żona w domu, dziecko w dobrej szkole. Chwała ci, Panie Boże! Jakież ten świat jest piękny! Cudne jest życie!

Utrzymywałem kontakt ze wszystkimi. Otrzymywałem sporadycznie listy z najbardziej nieoczekiwanych zakątków świata. Kiedyś rzuciłem projekt do mieszkającego w Brukseli Eizenmana, że dobrze byłoby się znowu zobaczyć. Myśl podjął z entuzjazmem: urzędzmy w Londynie w Ognisku zjazd Związku Drobnych Podoficerów! Niedługo potem przysłała wiadomość, że Eizenman został potrącony przez samochód, długo chorował i umarł (1969).

Inni także przychylnie odnieśli się do zjazdu, ale odległość, uciążliwa podróż, koszt przejazdu itd. skłaniały ich do odkładania terminu. I niestety, coraz to wypadało mi złożyć ze ściśniętym sercem wspomnienie czy nekrolog z miłym nazwiskiem.

W 1977 roku Feldhuzen zelektryzował nas wiadomością, że będzie przejeżdżał przez Anglię w sprawach swojej agencji i zatrzyma się w Londynie. Rozesłałem wici.

Przybyło do Ogniska zaledwie pięć osób. Radość ze spotkania przeciągnęła się do późnych godzin.

W rok później Maciej przybył ze firmą „rajców” samochodowych. Uściskom, toastom, serdecznościom, wspomnieniom nie było końca. Kres zjazdowi położył kierownik Ogniska: „Proszę pań-

jednostek wojskowych po prawej stronie Wisły, ruszył przed siebie, mając z ekwipunku wojskowego jedynie furazerkę, którą kupił po drodze. Znał obce języki, m.in. czeski. Po stronie polskiej formował się legion czechosłowacki, potrzebny był tłumacz. Jednak zanim dotarł do dowództwa, legion odmaszerował, zostawiając ewentualnego legionistę w próżni.

Po licznych przygodach, szlakiem wielu żołnierzy znalazł się we Francji. Jako że znał francuski przydzielono go do stacji komendy zbrojnej w Bressuire, gdzie odwalał urzędowe papierki.

Ofensywa niemiecka w 1940 r. i następnie kapitulacja Francji postawiła stację zbrojną w Bressuire przed dylematem: co dalej? chyba wiać? Płatnik mjr Kowalski wcisnął służbowe franki do walizki Feldhuzena i ruszyli do La Rochelle. W porcie płk Sosabowski kazał wrzucić walizę do morza. Na uwagę, że są w niej pieniądze państwowe, pułkownik wrzasnął że tutaj ratuje się ludzi a nie walutę! Feldhuzen jednak boczkim, boczkim zaginął w tłumie z walizą.

W Glasgowie pierwsze kroki skierował do banku, gdzie wymieniono mu franki na górę funtów. Oddział mjra Kowalskiego mieścił się w budynku szkolnym, w którym zakwaterowano dużą grupę oficerów. Zareportował o szczęśliwym wydarzeniu. Przerwał mu podniecony wrzask: dlaczego nie prosi najwyższego rangą oficera (tzn. jego — pułkownika) o pozwolenie rozmowy z kimś na sali? Kazał wyjść, wrócić i zastosować się do regulaminu. Rozkaz to rozkaz...

mundurze. Tęga głowa pod każdym względem, jednak poczucia humoru nie miał. Nigdy go nie widział śmiejącego się, jak to się mówi, „całą gębą”. Zawsze zafasowany i zapatrzony w swoją opatrnościową osobę. Wyprężonego telefonisty nie dostrzegał, nie odpowiadał na pozdrowienia, chyba że miał jakieś sprawy do załatwienia przez telefon. Tylko pani generałowa Sikorska traktowała go jako jednego z domowników. Kiedyś córka, Zofia Leśniowska, postawiła przed telefonistą kieliszek sherry i kanapkę z szynką. Zauważył to generał i ofuknął:

— Zosiu, oszalałaś? Jeśli chcesz żeby dobrze pracował, daj kapralowi pajdę chleba razowego z kiełbasą, a nie takie frykasy!

Czuł się źle w tej służbie, same rygory, przywilejów niemal żadnych, ciągle sterczenie przy telefonie, nawet nie wolno było wyjść do parku aby się przewietrzyć, bo mogła przypadkowo uciepieć „tajemnica wojskowa”. Zaczął „chorować”. Lekarzowi generała zwierzył się ze swoich „bólów”; dr Held, który widział i słyszał co się dzieje, zrozumiał symulanta i odesłał go na izbę chorych. Tak zakończył karierę sztabową.

Potem w przedpokoju dowódcy korpusu, gen. Mariana Kukieła, spędził Feldhuzen ponad rok, jako podoficer ordynansowy. Były to spokojne czasy, miła atmosfera w służbie u kulturalnego profesora.

Następnie dostał przydział do „Dziennika Żołnierza”. A tu wrzała praca, każdy z piszących wyżywał się na swój sposób, każdy miał swój dział i musiał się z podjętej

bezpieczeństwo korespondentów, którzy zgodnie z konwencją genewską nie byli uzbrojeni, został ppor. Horko, tzw. „conducting officer”. Nasza Dywizja weszła w skład 1 Armii kanadyjskiej.

Przywrócono do życia „Dziennik Żołnierza”. Na redaktora gen. Maczek powołał z powrotem plut. Pawła Starzeńskiego, do pomocy mu byli pchor. Roland Węckowski i plut. Mieczysław Eizenman; ja byłem do spraw technicznych. Pismo początkowo wychodziło na powielaczu, później drukiem.

Częstymi gośćmi w ciężarówce redakcyjnej byli korespondenci wojenni. Dostarczali najnowszych wiadomości wojennych z odległych działań alianckich, czasem podrzucali ciekawy reportaż, Ryszard Kiersnowski dawał wiersze okolicznościowe. Feldhuzen zabierał nas często swoim samochodem służbowym do miejsc szczególnie godnych zobaczenia, np. Falaise, Ruisselede, Arnheim, most w Remagen, sforsowaną Linię Zygfryda. Ciekawe były napisy na ścianach domów od strony Niemiec: „Kujcie broń, a my ją dobrze zużyjemy”, „Walcmy o naszą ojczyznę, nasze żony, nasze dzieci”, „Tchórz jest szmatą”, itp.

Po zakończeniu działań wojennych „Dziennik Żołnierza” osiadł w Kwaczymości (Quakenbrueck), korespondenci rozjeżdżali po niemal całej Europie zachodniej i drukowali w pismach swoje wrażenia z uwolnionych od okupacji krajów. Czasem wpadali do nas i roztaczali obraz ówczesnej sytuacji różnych państw; wśród nich Feldhuzen, zawsze elegancki, świetnie ubrany, śpiący kawałami

dużo obcych języków, żaden nie znał gruntownie portugalskiego. Każdy miał dyplomy, dobre maniery, tytuły; niestety, żaden nie znał się na praniu. Nikt nie potrafił rejestrować i znakować otrzymanych sztuk; przy odbiorze wydawali jak popadło. Zdarzało się, że biedacy otrzymywali wspinałe obrusy, firanki, prześcieradła itp., a zamożni szmaty. Wkrótce pralnia zbankrutowała. Groziły dochodzenia policyjne. Aby zachować całą skórę rozpierzchli się na cztery strony Brazylii.

Feldhuzen wysłał żonę z dzieckiem na farmę, gdzie potrzebna była gospodyni; sam ulokował się w małym garażu, gdzie pozwolono mu spać na polowym łóżku w zamian za dozorowanie w nocy. Przez ścianę z falistej blachy miał stragan zieleniarz-badylarz, który już o 5 rano zaopatrywał swój kram w nowe płody ziemi, przyspiewując, gwizdząc i sikając na ścianę; ciecz spływała akurat pod łóżko dozorczy. Na jego rozpaczliwe prośby zaniechał podlewania, ale hałasów nie zaprzestał.

Tak upłynęły dwa lata; istnieje niepisane prawo brazylijskie, że przybysz musi odbyć nowicjat, aby mógł się zaklimatyzować na tutejszym terenie. Próbował wszystkiego aby zarobić parę groszy, przy jednoczesnym uczęszczaniu na kursy języka portugalskiego, wszystko nie wychodziło. Pilnie studiował ogłoszenia poszukujących pracowników, latał, zdzierał podeszwy, zawsze potrzebowali akurat innych kwalifikacji. Zdobył się za ostatnie grosze na ogłoszenie swoich zalet,

swą uroczą żoną, Lilią, 6. mistrzynią rajdów samochodowych. Uściskom, toastom, serdecznościom, wspomnieniom nie było końca. Kres zjazdu położył kierownik Ogniska: „Proszę państwa, już późno, zamykamy!” Umówiliśmy się, że zbierzemy się znowu w 1979 roku. Niestety, nie doszło do tego spotkania. Pisał:

Bardzo, bardzo Cię przepraszam że nie doszło do obiecanego spotkania, ale chaos spowodowany strajkiem personelu na lotnisku nie pozwolił na postój w Londynie, musiałem jechać dalej (...). Do zobaczenia za następnym razem, bądź zdrów przyjacielu. Twój Maciej Feldhuzen.

Niedawno temu otrzymałem list, w którym pisał m.in.:

W przyszłym roku ma się odbyć światowy zjazd Polonii w Warszawie. Chciałbym się spotkać z Tobą w Londynie. Pojedziemy razem, dobrze? W kraju są wielkie przemiany, jestem przekonany że prezydentem zostanie Wałęsa (...). Do zobaczenia, mocno Cię ściskamy — Ela i Maciek.

Niestety, nie zobaczymy się już nigdy, nigdzie wspólnie nie pojedziemy — odszedł jeden z najbardziej uroczych i błyskotliwych dziennikarzy starej gwardii. Chylę czoło przed Jego cieniem. Do widzenia, Maćku kochany, z Bogiem, aż się zejdziem znów!

Stefan K. Kuczyński
Do bardzo ciekawej wypowiedzi
Szczegółowy Panie Redaktorze!

Bóg, Honor, Ojczyzna
NASZA SKRZYNNKA

DP 30.11.1990

3

Odszedł Maciej Feldhuzen

W dzień Święta Niepodległości, 11 listopada, zmarł w Rio de Janeiro nasz długoletni korespondent i znawca problemów Ameryki Południowej, Maciej Feldhuzen.

Dziennikarz i ekonomista, który od czterdziestu przeszło lat przebywał w Brazylii w charakterze korespondenta zagranicznego prasy angielskiej i polsko-amerykańskiej. Maciej M. Feldhuzen urodził się w roku 1906 w Warszawie, gdzie ukończył gimnazjum im. Adama Mickiewicza. Uzyskał sto-

w Rio de Janeiro zawodowej organizacji grupującej korespondentów pismo zagranicznych bez względu na ich kierunek ideowo polityczny. Feldhuzen był sekretarzem generalnym tej organizacji a potem wielokrotnie jej wiceprezesem. Trzykrotnie odrzucał wybór na prezesa, bo w tamtych latach



Redaktor Maciej Feldhuzen

niał magistra ekonomii w Instytut dyktatury wojskowej. stanowisko



Redaktor Maciej Feldhuzen

pień magistra ekonomii w Institut Supérieur de Commerce w Antwerpii, a dalsze studia kontynuował w London School of Economics and Political Sciences oraz w wiedeńskiej Export Akademii. W okresie międzywojennym pracował w *Gazecie Handlowej* i w *Kurierze Polskim* w Warszawie. Był potem specjalnym wysłannikiem tego pisma w Finlandii, Grecji, Francji, Egipcie i we francuskiej Afryce Północnej. Ostatnie dwa lata przedwojenne spędził w Pradze jako korespondent *Kuriera Polskiego*.

Po upadku Kampanii Wrześniowej przedostał się do Francji, gdzie w roku 1940 został członkiem redakcji *Kuriera Polskiego*, wydawanego przez Rząd RP w Paryżu. W czasie służby wojskowej był sekretarzem redakcji *Dziennika Żołnierza* w Glasgow, a od roku 1944 korespondentem wojennym, przydzielonym do kwatery prasowej 1-szej Polskiej Dywizji Pancernej, która wchodziła w skład 1. Armii Kanadyjskiej. Z tą Dywizją lądował w Normandii i towarzyszył jej do końca działań wojennych. Po wojnie został mianowany przez władze polskie na obczyźnie naczelnym redaktorem tygodnika *Polonia* w Brukseli, wydawanego dla uchodźców polskich w obozach całej Europy. W tym czasie napisał książkę pt. *Wojna skończyła się wczoraj* (Bruksela, 1947).

Maciej Feldhuzen przeniósł się w roku 1948 do Brazylii i osiedlił się w Rio de Janeiro, pracując jako korespondent brazylijski amerykańskiej agencji prasowej „Foreign News Service” oraz współpracownik londyńskiego pisma *Financial Times*. Od roku 1975 był korespondentem nowojorskiego *Nowego Dziennika* na kraje Ameryki Południowej, a od roku 1979 również korespondentem londyńskiego dziennika *The Daily Telegraph*. W roku 1962 był jednym z założycieli Stow. Korespondentów Prasy Zagranicznej

dyktatury wojskowej, stanowisko prezesa było związane z nieustannymi interwencjami w rządzie w sprawach różnych korespondentów. Niemniej, z uwagi na długotrwałość swej pracy zawodowej w Brazylii, Feldhuzen został dziekanem korespondentów zagranicznych i w tym charakterze dożywotnim członkiem każdego kolejnego zarządu tej organizacji.

Maciej Feldhuzen pisywał także od wielu lat artykuły interpretacyjne o sytuacji politycznej w PRL dla tygodników: *Lud* w Kurytybie i *Głos Polski* w Buenos Aires. Poza swą pracą publicystyczną, udzielał się również pracy społecznej, wygłaszając od czasu do czasu pogadanki w Tow. „Polonia” w Rio de Janeiro oraz w Klubie 44 w São Paulo. Za swą akcję prasową na rzecz spraw polskich, red. Feldhuzen został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi. Współpracował z Archiwum Polsko-Łacińsko-Amerykańskim w Polskim Instytucie Naukowym w Ameryce. Zamieszczał także artykuły w paryskiej „Kulturze”. Jego częste i wielce interesujące doniesienia z Ameryki Południowej a także felietony o dawnej Warszawie, były bardzo cenione przez czytelników „Dziennika Polskiego”. Jego ciętego, wytrawnego pióra będzie nam brakowało.

Pozostawił żonę Elę, córkę Betty i wnuczki Natalię i Samantę.